ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 2 CHOJNICE, dnia 30-go kwietnia 1925 r. Nr. 15

Niemiła przygoda.

Jest pewien gatunek psów, które pochodzą od wilków. Są one duże, większe od wilków, i długiej burej sierści, chodzą zawsze poważnie, a nigdy nie słyszałem by kiedy szczekały. Psy te są doskonałe do stróżowania, gdyż są nadzwyczajnie czujne i mocne a niczym przekupić się nie dadzą.

Pewnego razu, a byłem wtedy w klasie czwartej poszliśmy z kolegą na spacer. Wieczór był śliczny, niebo pełne gwiazd, powietrze rzeźwie i aromatyczne, więc nie chciało się nam wracać do domu i szliśmy prosto drogą przed siebie bez określonego celu.

W ten sposób stanęliśmy przed jakąś fabryką. Przez chwilę odpoczywaliśmy na ławce pod murem ogrodzenia fabrycznego, a później zaczęliśmy się zastanawiać, co też w dalszym ciągu robic.

Koledze memu widać zrodziła się w głowie jakaś myśl niezwykła, gdyż tajemniczo nachylił się do ucha i szepnął:

— Wiesz co, Janek, przejdziemy ogrodzenie i zobaczymy, jak też wyglądają ogrodzenia fabryczne nocą.

Myśl ta, jako niezwykła, podobała mi się bardzo i nie zastanawiając się co robimy, wkrótce wdrapaliśmy się już na ogrodzenie. Była to praca niezbyt łatwa, przy dobrych chęciach udało się nam tego dziecinnego bohaterstwa dokonać.

Jakoż po chwili tajemniczo przekradaliśmy się z kąta w kąt, a że nikogo nie spotkaliśmy na drodze, więc zaczęliśmy chodzić już zupełnie odważnie. Nie upłynęło jednak kilka minut, gdyśmy ujrzeli podbiegającego ku nam ogromnego psa. Ucieczka była niemożliwa. Schowaliśmy się więc w kąt między zabudowania i przyczajeni oczekiwaliśmy co będzie dalej.

Pies widząc, że nie uciekamy, spokojnie się do nas zbliżył i zatrzymał tuż przy nas, nie spuszczając z nas wzroku. Nie mogłem tego dłużej wytrzymać, więc skoczyłem w bok; wówczas brytan rzucił się gwałtownie na mnie, przewróczył mnie na ziemię, i znów spokojnie stanął nademną, nie czyniąc mi żadnej krzywdy.

Tymczasem mój towarzysz podniósł alarm, na który przybiegł stróż nocny. Widząc co się dzieje, i zauważył nasze mundurki uczniowskie, odciągnął psa i zapytał, co robimy tu o tej porze.

Opowiedzieliśmy mu więc wszystko szczegółowo w drżących głosach naszych było tyle prawdy i szczerości, że uwierzył nam w zupełności, i odprowadził nas do bramy, a na drogę taką dał nam radę:

— Nie radzę panom robić na drugi raz podobnych prób. Mogło się skończyć znacznie gorzej.

Gdyśmy mu dziękowali za pomoc, odparł:

— Nie ma za co. Tylko to panów szczęście żeście się psu nie wyrywali. W pierwszym bowiem miesiącu zakradł się tutaj złodziej i dobierał się do magazynu. Pies go wytropił i przyłapał za ubranie Złodziej jednak obawiając się kary, zaczął się z psem mocować pragnął mu się wyrwać. Były to próby daremne, gdyż pies jest bardzo silny i specjalnie do stróżowania nauczony.

Nie robi on nic złego tym, którzy spokojnie na moje przyjście oczekują, lecz w razie oporu gotów zagryźć na śmierć. To też owego rzezimieszka porządnie pokaleczył i gdyby nie moje przyjście byłby go może i zagryzł na śmierć zupełnie.

Pożegnawszy się z nim, wyszliśmy na drogę i zwróciliśmy ku domowi. Przez całą drogę ani na chwilę nie otworzyliśmy ust, tak nas ta przygoda przeraziła.

Na mnie nie odbiło się to jakoś zupełnie, lecz kolega rozchorował się z przestrachu na zapalenie mózgu i przeszedł ciężką i bardzo niebezpieczną chorobę.

Od tego czasu wiem, jak to trzeba rachować się z każdym krokiem w życiu. Nie ryzykować, bo mogłoby nastąpić fatalne nieszczęście.

Przy nauce.

Uwaga dziateczki, rozłóżcie książeczki
Zaczyna się lekcja czytania:
No, najprzód Walery, wymawiaj litery
A potem łącz słowa i zdania:
Gdy skończysz już czytać, to będę się pytać
O czem to tam piszą w książeczce:
I musisz dokładnie, wyraźnie i ładnie,
Powiedzieć co było w bajeczce.
Wam czekać spokojnie cichutko, przystojnie
Gdyż jeszcze zaczyna nie pora,
A ty zaś Stefanie, zrób swoje zadanie
Lecz tylko bez mylek jak wczoraj,
Ty znowu Henryczku, siądź przy tym stoliczku,
Weź zeszyt z szuflady Stefana;
Pisz kreski, kółeczka — a każda laseczka
Niech będzie prościutko stawiana.
Lecz cóż to jest Zosi?.. a, uczyć się prosi:
Poczekaj wnet zajmę się tobą;
Będziemy czytali, literki składali
B, a, b, a, — b, e, b, e, — b, o, bo.
No, wszyscy przy pracy, i tylko Ignacy
Wygląda na lekcję zadaną,
To dobrze mój mały, masz tu rząd liczb cały
Pomnóż je przez liczbę wskazaną.
Aż w sercu wesoło, gdy widzę w koło
Tak wszystkich zajmuje nauka:
Ten pisze, ten czyta, ten o radę się pyta,
Ów liczby w rachunkach swych szuka,
Jakże to jest ładnie, jak chlubnie, przykładnie
Gdy chętne do nauk są dziatki,
Bo z czasem wzrośniecie, a wtedy będziecie

Pociechą dla ojca i matki.
Więc zawsze, więc społem, nie gardźcie mozołem,
Ni pracą choć sprawia przykrości;
A kiedyś wy sami, wdzięcznemi słowami
Wspomnicie o trudach młodości.

Co się zdarzyło Marcinkowi.

Chwyciła matka żeleźniak z komina, wielki o dwu uchach żelaźniak, w którem bulgotała woda, i wylała wrzątek do cebrzyka. Zaś zakasała rękawy, podgięła zapaskę i zabrała się do prania Marcinkowego przyodziewku.

Pierze porteczki te barchanowe w zielone kropki i kurteczkę galantą w czerwone paski, i koszulę, taką ze święcącemi guzikami pod brodą. Wszystko to na jutrzejszy jarmark w Biedoklepce. Marcinek w starej koszulinie na progu siedzi, matczynej robocie się przygląda i precz pyta, jak to będzie na tym jarmarku.

— A piszczałeczki bedom ?

Bedom, synusi, bedom; coby nie miały być ?

— A gliniane kuruski bedom ?

— Przecie, bedom !

— A kupita mi cosik ?

— Kupię ci, synusiu, kupię ?

— A co ?

— Cacko z dziurką ci kupie.

— Laboga reta ! Cacko z dziurką !

Marcinek wytrzeszcza na matkę rozradowane oczy.

— Hale, przecie ! Dmuchniesz se w dziurkę — to ci piśnie.

Wyjęła matka kurtkę z cebrzyka, wypłukała ją w zimnej wodzie, wyrzęła, roztrzepała i powiada do chłopaka :

Leć że i powieś to na słońcu, to wartko przeschnie. Marcinek złapał mokrą kurtkę i wyskoczył za próg

— Ale aby na słońcu ! — krzyknęła matka. Wypadł Marcinek przed chałupę, rozgląda się wkoło popatruje w górę.

Słońce akuratnie po tej rosochatej jabłońce, co za chałupą rośnie, wylazło na dach i siadło się na kalenicy.

Marcinek, niewiele myśląc, hyc na drabinę i na czworakach na dach lezie

Trudno mu sobie z kurtką poradzić — to ją pod pachę biorę, to w zęby, to na szyję zakłada — wreszcie się tam jakoś do kalennicy dodrapał. Siadł na niej okrakiem, patrzy a słońce już na kominu siedzi.

— Cegoj mi uciekos !

Znów wziął kurtkę w zęby i pocołgał się po kalenicy aż do komina, zaczem chwycił się kantu nogą, i na kominie usiadł.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że mu rękaw od kurtki uwiązł w szparze komina. Szarpnął kurtkę Marcinek a tu jak nie gibnie się, jak nie poleci nosem naprzód... zamachał rękami, ale nie miał się czego chwycić i bach !... grzmotnął w środek komina. Szczęście, że się nogami na czemś oparł, to aby po brodę w kominu uwiązł.

— No, nie to — myśli, aby kurtecke rozwise, to się jako zaś z komina wygrzebie.

A tu ci widzi... słońce het, precz na topolę wskoczyło, na gałęzi se siadło, poprzez liście popatruje Tego już dla Marcinka było za wiele. Jak nie ryknie płaczem !

— Cegój mi ciągiem uciekos ! Hu...hu...hu.. hu hu płacze, płacze aż mu się głowina nad kominem trzęsie.

Słyszy Wojciechowa — Marcinek, nie Marcinek ?

— Jakisi dzieciak okrutnie się drze.

Wybiegła z chałupy.. patrzy... nikoguśko niema. Słucha.. Z góry gdzieś głos leci !

Przesłoniła ręką oczy od słońca, rozgląda się...

— Rany Jezusowe ! A kaj żeś ty wlazł ?

A Marcinek rękami czarnemi od sadzy rozmazuje łzy po gębusi.

Ady... ady... kazaliście na słońcu powiesić... a słońce mi ciągiem ucieka... Jakoz na topole za niem wylaze... Bu bu bu...

I cóż biedne matczysko miało robić ?

To wzywając imienia Bożego na ratunek, to lamentując, że ją to chłopczysko do grobu wpędzi, wylazła Wojciechowa po drabinie na dach i Marcinka wyciągnęła z komina.

Musiała teraz matka nie tylko kurtkę czarną od sadzy drugi raz prać, ale i Marcinka całego do cebrzyka wsadzić i wiechciem z piaskiem szorować aż do siódmego potu.

Mazurek.

Dalej myszy do mazura !
Nie ma kota ni pazura !
Mama siadła gdzieś zdaleka,
Jan ogrodnik, z przyjściem zwleka,
Antoś krzyczy : — Hej ! że hurra !
Dalej myszy do mazura !
Prędzej ! żwawo, Stefciu, Maniu,
Zuziu, Róziu, Bronku, Franiu !
Co za jabłka, co za gruszki,
Choć nas spotka może bura,
Dalej chłopcy w okrzyk : hura !

Trzęsie Antoś, gruszki lecą,
Gałęź trzeszczy, gnie się nieco
Pęka raptem ! chłopczyk spada !
O nieszczęście, biadaż biada !
Pewno po nim !... Traf szczęśliwy !
Legł na trawie, ale żywy,
Płacze !!! Kara za swowolę,
Jak pięść wielki, guz na czole
I zdrapana mocno skóra,
Choć bez kota i pazura.

Magdusia i pieski.

Proszę was, drogie dziatki,
Poradźcie co Magdusi,
Bo mi żal jej doprawdy,
Ze się męczyć musi.

Fidelka, Brysia, Chopkę,
Trzy pieski ma nieboże,
Już rok je uczy służyć,
I ani rusz nie może !

Dopóki trzyma w rączce
Ciasteczko lub karmelek
Na dwóch się łapkach spina
Bryś, Chopka i Fidelek.

Lecz niech położy tylko,
Te słodkie specjały,
Wnet— buch ! na cztery łapki
I stoją tak, jak stały.

Już nie ma na to jak dzieci,
Z nich każde bez słodyczy,
Jest grzeczne i posłuszne
Bo mama sobie tego życzy.

Dzieciuki dobrze wiedzą,
Że wstyd to ludziom wielki,
Jak piesek jaki służyć
Za ciastka, za karmelki.